
Bernadeta Stano

Dni było siedem. Każdego dnia zadawałam sobie pytanie, po co tam jestem. Dla kogo, w czyjej intencji? Która z nich jest najważniejsza? Podziękowanie za dar zdrowia dla syna? Prośba o taki sam dar dla syna innej kobiety? Wołanie o rozeznanie w decyzjach, które niecierpliwie stoją za progiem? A może wdzięczność za ludzi, którzy znaleźli się w tym samym miejscu i w tym samym czasie? Może właśnie najważniejsze to dziękować za to, co tu i teraz: za wyciszenie własnych lęków i desperackie akty odwagi? I prosić, by to, co dobre i piękne: przyjaźń, sens dalszej pracy, siły i chęci do działania, by to pozostało dłużej, jak najdłużej.

Zasypiałam kamiennym, dobrym snem, ale bez odpowiedzi. Szóstego dnia, w niedzielę w Lanciano, przysłała podpowiedź. Zawstydziała mnie, odsłaniając wyparte z pamięci wydarzenie z niedalekiej przeszłości, kiedy wobec kogoś bardzo mi bliskiego dałam świadectwo niewiary w Zmartwychwstanie i w sens oczekiwania na życie wieczne. Klęcząc przed monstrancją z Ciałem i kielichem z Krwią, myśląc z radością o tym, że będę jeszcze mogła wrócić do Manoppello przed Wizerunek, zaniechałam żalów i oskarżeń o to, co było i czego nie będzie mi nigdy dane naprawić. Poczułam, że to już zostało mi wybaczone i mogę zacząć od nowa tę drogę.

Jeszcze mam w uszach śmiech Ojca Mariana, stukanie w kratki konfesjonału i oszałamiający śpiew ptaków o świcie. Gdy zamykam oczy, widzę Obraz. Nie potrzebuję odpowiadać sobie na pytania o jego pochodzenie. Wystarcza mi fakt jego istnienia oraz dowody jego mocy: słowa świadectw, wota w Sanktuarium – ta upchnięta do klatki biała sukienka...

Manoppello – ręka pełna kłosów...

